

1953 r., rok w którym ukończyłem pracę w Bełsznicy, pracę nauczyciela Polski Ludowej? Myślę, że mimo wszystko przełomowy, bo w tym roku zostałem studentem Wydziału Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Przed podjęciem studiów w Krakowie był pan jednak tylko młodym nauczycielem próbującym wyrwać się z kręgu zakłamania. Jak pan tego dokonał?

Wiedziałem, że Polska to „kraj pieczętek”. Zaczęłem więc zbierać je pod różnymi opiniami, zaświadczeniami. Pamiętam, jak wczesnym popołudniem poszedłem do Gminnego Komitetu (dopiero za czasów Gomułki zmieniono nazwę na Zarząd) Związku Młodzieży Polskiej w Rogowach. Za biurkiem siedział chłopak o dość bujnej czuprynie, włosy miał „lukate”, czyli takie kręcone, nie za długie, bo wtedy ZMP walczyło z tym „przejawem zgniętego Zachodu”, a on był przecież gminnym sekretarzem. Gdy mu powiedziałem, że proszę o opinię, bo staram się na studia, odpowiedział zupełnie normalnie – „Ja, panie rektorze, wy dużo tu w tej Bełsznicy robicie, to bisko do siatkówki i ta bieżnia. Toż skoczcie do tego sklepu i przynieście fiasko, a ja wam w tym czasie wystawię zaświadczenie”. Poszedłem do sklepu, przed bufetem stała dosyć długa kolejka. W końcu dotarłem przed ladę i poprosiłem o butelkę wina. Pamiętam, że kosztowało kilkanaście złotych. Moja pensja „dyplomowanego” nauczyciela szkoły podstawowej wynosiła bodaj 450 zł. Wino było więc tanie. Ekspedientka zawinęła butelkę w jakąś gazetę. Gdy wchodziłem do biura z tempowiczem już miał zaświadczenie napisane, choć gdy wychodziłem po to wino, stuknął w maszynę jednym palcem. Myślę, że albo on jednak bardzo szybko pisał, albo ja po to wino musiałem długo stać w kolejce. Następnym był dokument, który na moją prośbę wystawiła mi kierowniczka szkoły. Ta opinia, w odróżnieniu od zetempowskiej, była pisana ręcznie. Pani kierowniczka napisała ją na kratkowanym papierze A-4. Pamiętam, że w lewym rogu, jak przystało, odcisnięta była podłużna pieczęć „Szkoła Podstawowa w Bełsznicy”, a na dole okrągła pieczęć z godłem, pod nią napis „Kierownik Szkoły Królowa Jadwiga”. Powoli moja teczka stawała się coraz grubsza, bo w Komitecie ZSL-u wystawiono mi kolejną opinię jako świadka działacza ludowego i powstańca śląskiego. Na marginesie, przypominam sobie, że ojciec był członkiem PSL-u i w okresie powojennych wyborów brat Stanisław z ziemniaka, czy też z tzw. kwaka, wykonał pieczętkę, aby natłuc coś tam na kartkach do głosowania za PSL-em. Nie wiem co się działo, ale nagle ojciec dał mi worek z le-

gitymacjami i kazał szybko schować go w stodole, bo jak znajdują, to nas aresztują.

I te zaświadczenia wystarczyły? Dużo ich pan musiał zgromadzić?

Mówiłem już, że to był „kraj pieczętek”. Kiedy moja teczka spuchnięta była od różnych dokumentów wystawiłem ją na Wydział Prawa UJ z pominięciem jakichkolwiek komisji. Ale wtedy jeszcze nie zdawałem sobie sprawy, jakie te opinie mogą mieć znaczenie, gdy przystąpiłem do egzaminu, a potem, gdy już byłem studentem. Ale o tym później, bo chciałbym jeszcze opowiedzieć o koloniach letnich...

Dlaczego akurat o koloniach? Takie były wyjątkowe?

No tak, dla nas Ślązaków były, bo młodzież ze Śląska wyjeżdżała nad morze lub w góry, aby trochę przefiltrować płuca i poratować kondycję chociaż na kilkanaście dni „uciekając” z zadymionego Śląska. Najwięcej takich ośrodków kolonijnych miały kopalnie. A dla mnie to były pierwsze kolonie letnie, na których pracowałem. Był rok 1953. Organizatorem było Rybnickie Zjednoczenie Przemysłu Węglowego, a ja pełniłem funkcję zastępcy kierownika kolonii w Lisim Jarze, poniżej Jastrzębiej Góry i tuż koło latarni morskiej na Rozewiu. Pamiętam czworokąt z baraków zlokalizowanych niemal na klifowym brzegu, z którego patrzyło się w dół i w dal na morze, na otwartą przestrzeń wolności. Funkcją lekarza pełnił student, chyba już ostatniego roku medycyny – Jan Miedniak, później lekarz w Rybniku. Kierownikiem kolonii był dyrektor Zasadniczej Szkoły Górniczej w Rydułtowach. Wysoki, przystojny brunet o dość bezceremonialnym zachowaniu. Ja w sali, z kolonistami miałem wydzielone szafki jakieś 3 na 4 metry. Kierownik cedował na mnie wiele obowiązków, a najbardziej drażliwy wówczas był problem uczestnictwa młodzieży w mszach w kościele w Jastrzębiej Górze. Kierownik odsyłał wychowawców do mnie, często zaopatrzonych w pisma rodziców wyrażających życzenie, aby ich dziecko mogło pójść w niedzielę na mszę. Był to 1953 r. – szczyt stalinizmu, choć Stalin w marcu tego roku zmarł. I podsunąłem wychowawcom taki pomysł: wychodzicie z grupą na wycieczkę i tak ją zaplanujecie, aby przed mszą być w Jastrzębiej Górze, po czym ogłaszacie „czas wolny”. W ten sposób, wszystkie dzieci naszej kolonii uczestniczyły w niedzielnych mszach. Po wakacjach sprawa ta była przedmiotem jakiejś awantury w Komitecie Powiatowym partii w Rybniku, ale mnie już wtedy to nie dosięgło, bo byłem w Krakowie.

Jak pan się dowiedział, że został pan studentem prawa na UJ?

Ktoś z tego domu wczasowego FWP przyleciał i przekazał informację, że brat z Jastrzębia Zdroju zadzwonił i powiedział, że przyszło zawiadomienie z Uniwersytetu Jagiellońskiego, że zostałem dopuszczony do egzaminu wstępnego na Wydział Prawa. Powiedział też, że jutro o godzinie 10.30 rozpoczyna się egzamin wstępny. Proszę sobie wyobrazić jak się czułem... Nadal byłem nauczycielem Szkoły Podstawowej w Bełsznicy. Byłem setki kilometrów od Krakowa, na letnich koloniach... Było już południe. Polecałem do kierownika kolonii, który na szczęście dał mi urlop i jeszcze zaliczkę, abym miał za co dojechać do Krakowa. Z teczuszką stanąłem na poboczu drogi i czekałem na okazję, bo autobus wtedy kursował na trasie Jastrzębia Góra – Wejherowo tylko jeden raz dziennie. W Wejherowie przesiadłem się do pociągu, którym dotarłem do Gdyni. W Gdyni czekałem dwie godziny na pociąg do Krakowa. Jechałem na korytarzu, bo nie było miejsca w przedziałach. Część tej nocnej podróży odbyłem siedząc „w kucki”, ale traktowałem to jako coś normalnego. Problem był inny. Pospieszny, tym razem nie był pospiesznym i do Krakowa wturlał się z dwugodzinnym opóźnieniem. Było już blisko południa, a ja nie znałem Krakowa, właściwie w ogóle go nie znałem.

Jest pan jednym z najbardziej znanych i cenionych prawników, skończył pan studia, rozumie więc, że jednak zdążył pan wtedy na egzamin?

Prawie zdążyłem, a kiedy teraz sobie przypominam jak ten egzamin zdawałem, to myślę, że prawo było mi przeznaczone. A było to tak. W końcu dotarłem pod jakąś salę, na drzwiach której zawieszona była lista kandydatów na studentów. Odnalazłem wreszcie własne nazwisko w chwili, gdy z sali wyszedł jakiś asystent. Gdy przedstawiłem się oświadczył: „ale egzamin pisemny jest już w toku i niedługo zostanie zakończony”. Pokazałem mu bilet i podałem przyczynę spóźnienia. Staliśmy pod drzwiami. On argumentuje, że już nie może mnie wpuścić, ja, że powinien, bo spóźniłem się nie z mojej winy. Coraz więcej zdających zaczęło wychodzić po oddaniu napisanych prac pisemnych. Miałem już co nieco doświadczenia i wiedziałem, że jeżeli nie wejdę, to będzie znaczyło, że się nie zgłosiłem i nie będę dopuszczony do egzaminu ustnego. Moja determinacja była tak wielka, że pan asystent machnął ręką i pozwolił wejść na salę zastzegając, że i tak zaraz minie czas trwania egzaminu. Niemal wpadłem na salę, w której już niewielu się męczyło.

O Józefie Musiole na stronie Liceum Ogólnokształcącego w Wodzisławiu można przeczytać taką notatkę.

Prawnik, publicysta, związany ze Śląskiem zarówno pochodzeniem, jak i częścią pracy zawodowej i społecznej.

Urodzony 9 I 1933 r.

w Połomii (dawny pow. rybnicki) w rodzinie o tradycjach powstańczych.

W 1951 r. kończy 1 Liceum Ogólnokształcące w Wodzisławiu Śl.

Po krótkim okresie pracy nauczycielskiej w 1953 r. podejmuje studia prawnicze na Uniwersytecie Jagiellońskim.

W 1976 r. uzyskuje stopień doktora nauk prawnych u prof. Jana Baszkiewicza.

Od 1957 r. pracuje w organach wymiaru sprawiedliwości, przechodząc kolejne szczeble awansu od aplikanta sądowego do sędziego Sądu Najwyższego w 1977 r.

W 1976 r. zastępca redaktora naczelnego „Prawa i Życia”, w 1977 r. zastępca dyrektora Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce.

Od 1983 r. wiceminister sprawiedliwości. Inicjator i współorganizator Rybnickich Dni Literatury oraz licznych imprez kulturalnych i patriotycznych zarówno na Śląsku, jak i w kraju. Członek i działacz m.in. Stronnictwa Demokratycznego, Związku Prawników Polskich, Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL, Związku Literatów Polskich, Rady Naukowej Instytutu Śląskiego w Opolu, Śląskiego Instytutu Naukowego w Katowicach. Laureat m.in. nagrody Juliusza Ligionia Polskiego Radia w Katowicach (1984) oraz nagrody specjalnej SDP za książkę Przesłuchanie.

Autor licznych artykułów prasowych, jak i pozycji zwartych, m.in. Ludzie tej ziemi (1974, 1980), Sady polowe w III powstaniu śląskim (1978), Przesłuchanie (1977) – wydane w RFN jako DasVerhör (Merzig 1986). Sędzia i kat, czyli jeden dzień doktora Thümmlera (1986), wysoko ocenioną przez krytykę.

W książce Człowiek i zbrodnia Józef Musioł pisze: „Chciałem podać mu rękę, przycisnąć do siebie, chociaż jestem od niego blisko 20 lat młodszy. Nie mogłem tego uczynić, bo wykraczałoby to poza formy urzędowe. Popatrzył mi w oczy. Czy pomyślał, że tragedia ofiar tamtego okresu jest mi bliska? A może wydawało mu się, że nic mnie to nie obchodzi, przecież nie przejawiam żadnych odruchów współczucia, a przesłuchanie traktuję jako obowiązek rejestrowania zeznań. Takimi to uczuciami miotany zamknąłem kiedyś któryś z rzędu dzień przesłuchań ludzi, po których niedługo zostaną tylko protokoły, jakże niedoskonałe, bo nie mogące oddać nie tylko tego, co faszyzm zgotował ludzkości w sensie ogólnym, ale co przeżył pojedynczy człowiek.”

Dziękujemy dr. Józefowi Musiołowi za to, że często nas odwiedza i trafia do nas swoim słowem, wiedzą i doświadczeniem, że ciągle jest jednym z nas.

Zacząłem pisać. W pewnym momencie podszedł do mnie asystent oświadczać: „widzi pan, już nikogo nie ma i ja dla pana tu nie będę dyżurował, tym bardziej, że czas minął”. Oddałem mu moją kartkę z jakimiś gryzmołami i wyszedłem. Tego samego dnia wieczorem wracałem na Wybrzeże. Po kilku dniach kolega z Krakowa powiadomił mnie, że jestem na liście, że zostałem dopuszczony do egzaminu ustnego. Tym razem wyjechałem na egzamin dzień wcześniej. Egzamino wał nas profesor Patkaniowski, historyk powszechniej historii państwa i prawa, lekko przygarbiony, patrzący „spod czoła”. Wszystkie jakoś szło dopóki taki młody, czarny, o poważnym wyglądzie komsomolca członek komisji nie zadał mi pytania o historię ruchu rewolucyjnego na Półwyspie Pirenejskim. Zaczęłem „pływać”, a on skwitował to krótko i niechętnie: „To jest dobre na wiec, a nie na egzamin”. Z merytorycznych przedmiotów poszło mi dobrze.

Rozpoczął pan nowy okres w życiu, już nie na swoim rodzinnym Śląsku. Czy do Śląska, na Śląsk pan wracał?

Wciąż wracam i w sercu nigdy tak naprawdę nie wyjechałem. Ale wtedy wynik egzaminu był dla mnie niezwykle ważny, bo w razie nieprzyjęcia na studia trafiłbym do wojska, a jako syn kułaka pewnie do kompanii górniczej, czyli na dół do kopalni. Mimo że jestem Ślązakiem, nie miałem nigdy rodzinnie nic wspólnego z górnictwem, z tą atmosferą, w której moi koledzy wyrastali. Wycho-

dząc z sali celowo nie domknąłem ogromnych drzwi, a drugie prawie w połowie odchyliłem. Nie słyszałem wszystkiego, ale Śląsk mnie uratował.

Jak to, Śląsk pana uratował? Przecież Ślązacy nie byli w tamtych czasach trakto-wani wyjątkowo. A może jednak byli?

No cóż, dyskutowano o Ślązackich. Wywiązała się polemika. Ktoś mówił, że syn nacjonalisty, bo powstańcy śląscy to nacjonaści. Czytano również opinię jaką wystawiło mi ZMP w Rogowach. Profesor Patkaniowski tłumaczył, że dzięki powstańcom Polska dostała Śląsk. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że bodaj szwagier Patkaniowskiego był ochotnikiem w III powstaniu śląskim. Potem usłyszałem jakiś szelest papierów i nagle gromki śmiech „Królowa Jadwiga”. Doszli do opinii wystawionej przez kierowniczkę szkoły Jadwigę Król podpisującej się ze Śląska najpierw nazwiskiem, a potem imieniem. No, coś takiego! Królowa Jadwiga! Ale pojechała to Krakusów... Tak sobie myślę, że ta opinia mogła pomóc w przyjęciu mnie na studia.

A jak wspomina pan początki w Krakowie?

Były trudne. Z walizczką pełną owoców, chleba i jakichś tam drobnych przyborów przyjechałem do Krakowa. Byłem bez dachu nad głową. Wiedziałem jednak, że nie mogę zmarnować szansy i pierwsze dwa tygodnie chodziłem na dworzec PKP w Krakowie i tam kładłem się na ławce mając za poduszkę ową walizczkę. Po-

tem, przez blisko 3 lata mieszkąłem „na waleta” w słynnym II Domu Akademickim przy ulicy 3 Maja. Ale nie użalałem się, bo wiedziałem czego chcę i żadne trudności nie mogły mnie wytrącić z dążenia do celu. Pamiętałem też skąd pochodzę i jakie wartości wyniosłem z rodzinnego, śląskiego domu. Ja do dzisiaj o moim śląskim domu wciąż pamiętam.

Śląski dom też o panu pamięta. Czy było tak od początku, czy dopiero kiedy zrobił pan prawniczą karierę?

Jestem przekonany, że od początku. Jeszcze na studiach dostałem list od uczniów z Bełsznicy. Fragment tego listu wielce mnie ożywił i brzmiały one mniej więcej tak: „Panie Rektorze. Czemu nas nie odwiedzić? Wiemy, że ze stacji kolejowej w Bełsznicy jest maraz, ale dyc se te nogawki podwiniecie i jakoś do nas dońdziecie...” I gdy było mi ciężko, to na głos ten list czytałem. Bo świadomość, że tam gdzieś, we wsi na Śląsku ktoś o mnie pamięta i tak się do mnie zwraca, stanowiło swoistą więź - nierozzerwalną. Korzystam więc z okazji, aby tych wszystkich uczniów, z którymi się zetknąłem w Bełsznicy, podobnie jak w Kokoszykach, serdecznie pozdrowić i przeprosić za to, czego ich nie nauczyłem, choć jako nauczyciel nauczyć powinienem. Dziś to inna epoka, ale pewne wartości wtedy i dzisiaj są uniwersalne, te wyniesione z domu – tradycji i obyczajów. I one powinny determinować także nasze dzisiejsze zachowanie.